

TROCĘ ZA, A TROCĘ PRZECIW (VIII)

Jerzy J. PARYSEK

Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu
Wydział Geografii Społeczno-Ekonomicznej
i Gospodarki Przestrzennej
e-mail: parysekjerzy@gmail.com
ORCID: 0000-0003-0044-6582

„TYLKO DOKĄD SIĘ TOCZY I PO CO”¹

“But where it goes and what for”

Od jednego z profesorów o dużym wkładzie w teorię i metodologię gospodarki przestrzennej, którego poznałem w 1982 roku, z którym do dziś utrzymuję kontakty naukowe, a który zna moje zainteresowania – także w zakresie nauki i jej znaczenia oraz roli uniwersytetów – otrzymałem kopię eseju *Academentia: the organization insanity of the modern university*, co w wolnym przekładzie na język polski mogłoby brzmieć *Akademickie otępienie (demencja) – organizacyjny obłęd współczesnego uniwersytetu*. Przyznać muszę, że choć opisana sytuacja dotyczy środowiska akademickiego Stanów Zjednoczonych, konkretnie uniwersytetów, zwłaszcza tych z tzw. kręgów liberalnych, to wprowadziła mnie w stan głębokiego przygnębienia. Dostrzegłem bowiem podobieństwa tego, co zostało opisane w odniesieniu do zmian, jakie szybko dokonują się w uniwersytetach amerykańskich, do tego, co można zauważyć w zmianach, jakie dokonały się i dokonują w polskim środowisku akademickim, a generalnie naukowym po 2018 roku, ale także już wcześniej. Podobieństwo to jest tym bardziej zastanawiające (ale i niepokojące), że uniwersytety amerykańskie funkcjonują przecież w zupełnie innych warunkach organizacyjnych i finansowych niż polskie i mimo wszystko w nieco innej niż nasza, raczej już ugruntowanej demokracji.

¹ Wyimek z kwestii wypowiedzianej przez bohaterkę *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej (1963, tom 2, wyd. 15, s. 260): „Widać tak już musi być między ludźmi – myślała pani Barbara – niechęć i przywiązanie, obcość i bliskość, żadne z tych uczuć nie trwa i nie wypełnia całej istoty, jedno nie wiadomo kiedy przechodzi w drugie, wszystkie połowiczne, niecałkowite [...], niedociągnięte – wracała do rwącego się wątku – a jednak, razem wzięwszy, składa się to wszystko na jakąś całość, która się toczy... Tylko dokąd się toczy i po co?” [przyp. red.].

Właściwie to nie znam bliżej uniwersytetów anglosaskich ani amerykańskich, ani kanadyjskich, ani nawet brytyjskich. Nigdy nie byłem tam na służbowym stażu naukowym. Będąc prywatnie w wymienionych krajach, odbywałem jednak rozmowy z przedstawicielami tego środowiska, składając podczas pobytów wizyty w interesujących mnie jednostkach (uniwersytety w Cincinnati i Vancouver) lub wygłaszając gościnny wkład (Londyn). Sporo informacji na temat funkcjonowania nauki w Ameryce Północnej, a zwłaszcza w Kanadzie, uzyskałem od mojej córki, która przez 10 lat przebywała w uniwersytetach wymienionych miast, choć reprezentuje zupełnie inną dyscyplinę naukową. Jej ocena sytuacji nie jest jednak tak krytyczna, jak w otrzymanym eseju. Interesowały ją jednak przede wszystkim techniczne warunki pracy naukowej w dyscyplinie empirycznej, a tam ideologia nie zagląda tak nachalnie do nauki, jak w naukach społecznych.

Myślę jednak, że w kształtującej się sytuacji nie od rzeczy jest zamyślenie się nad przyszłością polskich uniwersytetów w kontekście tego, co dzieje się po drugiej stronie Atlantyku – choć po tej naszej zapewne także². Problemy i tendencje dostrzeżone w Stanach Zjednoczonych dają już przecież znać o sobie zarówno w europejskim, jak i w naszym systemie nauki i szkolnictwa wyższego.

Może więc na początku tylko krótka synteza tego, co autor nadesłanego mi tekstu rozumie pod pojęciem *akadementia* i jakie dostrzega skutki jej rozwoju w uniwersytetach amerykańskich.

Może ktoś zapytać, a jak się to ma do geografii? Ano tak, że póki co, obie nasze geografie są dyscyplinami naukowymi funkcjonującymi przede wszystkim w typowych uniwersytetach i odczuwać będą, wraz z innymi dyscyplinami, skutki dokonujących się zmian. Dotyczy to zarówno geografii społeczno-ekonomicznej, jak i gospodarki przestrzennej. Inaczej bowiem funkcjonują dyscypliny tzw. nauk ścisłych (w tym także przyrodniczych), a inaczej społecznych, na co już, mimo woli, zwróciłem uwagę.

Nieznany mi z imienia i nazwiska autor tekstu w specyficzny sposób interpretuje termin *akadementia*. Wyraz ten traktuje jako połączenie choroby (*dementia*) i podmiotu dotkniętego chorobą (*academia*), przy czym szczególną rolę odgrywa wspólna dla obu wyróżnionych przedmiotów rozważań, tj. uniwersytetu (*academia*) i demencji (*dementia*), litera *m* (*academia* + *dementia* = *akadementia*). Akademię jako środowisko naukowe, a zarazem konkretne jednostki naukowe tego środowiska, reprezentują przede wszystkim uniwersytety – i to jest chyba oczywiste. Zupełnie inaczej ma się jednak sprawa z demencją.

W naukach medycznych, także w Polsce, demencją nazywa się przede wszystkim postępujące wraz z wiekiem otępienie, w którego przebiegu dochodzi do postępującego upośledzenia funkcji intelektualnych, co objawia się przede wszystkim w problemach z pamięcią, spowolnieniem myślenia oraz zaburzeniami zachowań. Demencja wiązana jest zatem z procesem starzenia się osób, co nie oznacza braku przypadków wystąpienia tej choroby w latach wcześniejszych. Nie wiem jednak, czy starzenie się uniwersytetów (tysiącletnia historia) może zostać uznane za wyłączną przyczynę demencji tego środowiska. Chyba raczej nie, ale po kolei.

Pojawienie się i rozwój *akadementii* – dalej: *akademencja* – autor przywołanego tekstu wiąże z okresem, w którym XIX-wieczne elitarne uniwersytety przekształciły się w XX-wieczne uniwersytety masowe, by ostatecznie stać się neoliberalnymi uniwersytetami XXI wieku. Zdaniem autora przytaczanego tekstu *demencja*, a właściwie *akademencja* osadzona w środowisku uniwersyteckim, jest rozumiana jako postępujące zaburzenia pamięci, myślenia i zachowania, które negatywnie wpływa na zdolności poszczególnych osób do funkcjonowania w tym tradycyjnie ukształtowanym (konkretnym) środowisku (tj. uniwersyteckim). W zasadzie jest stanem pewnego *organizacyjnego szaleństwa*, w którym środowisko akademickie nie może już funkcjonować jako społeczność uczonych (pracowników nauki). Jako schorzenie *akademencja*, a konkretnie jej objawy są efektem poważnej utraty kontaktu z rzeczywistością naukową uniwersytetów, spowodowanym przez neoliberalizm i menedżeryzm, wraz z biurokracją.

² Obecnie niemal każda polska publiczna uczelnia akademicka nosi nazwę „uniwersytet”.

Takim często toksycznym środowiskiem akademickim zarządzają aktualnie menedżerowie uczelni, tworząc hierarchicznie ustrukturyzowany organ zarządzający. Na czele tego organu stoją prezydenci, rektorzy i prorektorzy uniwersytetów oraz różnego rodzaju dyrektorzy, kanclerze, którzy kierują uniwersytetami w myśl ideologii neoliberalnej i założeń menedżeryzmu. Ideologie te obniżają rangę tego, co kiedyś definiowało samo istnienie uniwersytetu i podstawowej jego komórki organizacyjnej, tj. wydziału akademickiego. Minęły już te czasy, gdy dziekani reprezentowali środowisko akademickie, a nie tylko utrudzoną zarządzaniem władzę, jak to ma miejsce obecnie, kiedy są sprowadzeni do roli przeciążonych nakładanymi obowiązkami, „półakademickich robotników fabrycznych”. Jednocześnie prawdziwi, tradycyjni nauczyciele akademicy zostali odsunięci na bok przez menedżerskich urzędników-aparatczyków, bowiem pod rządami akademencji osoby poświęcające się nauce utraciły realną możliwość wpływania na kształtowanie polityki uniwersyteckiej. Dla uniwersyteckich menedżerów uczeni są smutną koniecznością, czynnikiem kosztowym, jednak mimo to wciąż niezbędnym do funkcjonowania uniwersytetu. Będzie to trwało tak długo, jak długo nauczanie *online* nie stanie się normą, a badania nie zostaną zlecone na zewnątrz. Czynnikiem kosztowym należy zatem jak najszybciej zredukować. Zredukowany zostanie także człowiek w wymiarze humanistycznym. Traktowany będzie właściwie (już jest) jako zasób pracy, narzędzie, sprzęt, a nawet pewnego rodzaju gadżet. Jednak tak musi być, kiedy uniwersytet funkcjonuje tak jak firma (fabryka) lub korporacja. Nowa władza kierownicza uzyskuje prawo do kierowania i zarządzania uniwersytetem, tworzy struktury, wymyśla plany, strategie i programy, podczas gdy jednostki organizacyjne, w tym te parające się nauką, są jedynie odpowiedzialne za ich realizację i właściwe wykonanie.

Inna jest też rola tradycyjnej administracji (biurokracji) w menedżerskim modelu funkcjonowania uniwersytetu. W jej miejsce pojawia się kultura sprawozdawczości, której symbolem są niekończące się pisanie sprawozdań, raportów i wypełnianie formularzy, ankiet itp. Zarządzają tym osoby, które najczęściej nie rozumieją istoty badań naukowych i mają raczej marne pojęcie o procesie dydaktycznym. Są natomiast wyspecjalizowane w sprawdzaniu wypełnionych formularzy, ich ocenie oraz nadzorowaniu tego procesu sprawozdawczości. Aby nie pokazywać swojego oblicza, menedżerscy aparatczycy szybko instalują programy dobrego samopoczucia dla swoich podwładnych i pracowników oraz bezpieczne przestrzenie dla studentów, siedząc samemu w klimatyzowanych biurkach. Inicjują i opracowują deklaracje misji uniwersytetu, wymyślają biznesplany, strategie badawcze, politykę nauczania, rozwoju naukowego – i pracują, zawsze bardzo ciężko, nad brandingiem uniwersytetu. Oznacza to, że nie tylko wzajemnie wykonują swoją pracę, lecz także organizują prace wszystkim innym, zabierając czas, który wcześniej był przeznaczony na efektywne działania w sferze nauki. Niestety dzieje się to w sytuacji, kiedy mimo wszystko uniwersytety będą jednak potrzebowały pracowników, którzy będą w stanie nauczać, prowadzić badania naukowe oraz publikować wyniki tych badań. Poza tym menedżerowie uniwersyteccy najchętniej zajmują się jednym z ulubionych instrumentów działania, tj. restrukturyzacją – bardzo powszechną i konsekwentną. Przypomina mi się stary dowcip o dyrektorze, który odchodząc z zajmowanego stanowiska, pozostawił w testamencie trzy koperty z krótkimi zaleceniami, których treści miały być brane pod uwagę w kolejnych okresach kryzysowych. Pierwsza koperta zawierała zapis: „Przeprowadź reorganizację”, druga: „Przeprowadź kolejną reorganizację”, natomiast trzecia: „Przygotuj trzy koperty dla następcy, bowiem wkrótce zostaniesz zwolniony”.

Zdaniem autora przytaczanego eseju menedżerski sposób zarządzania amerykańskim uniwersyte-tem i sukces, jaki osiąga, ma swoje dwa czynniki sprawcze. Pierwszym, o charakterze ogólnym (podkreślenie J.J.P.), jest liberalne państwo, którego urzędnicy na bazie neoliberalizmu celowo zaprojektowali odpowiednie środowisko, które pochłonęło uniwersytety. Drugim, oddolnym, jest przekonanie, iż wielu tkwiących w tradycji pracowników naukowych myśli, że funkcjonujących uniwersyteckich biurokratów można będzie przekonać za pomocą logicznych i racjonalnych argumentów do wspierania prawdziwej nauki. Wiedzą i wierzą, że to oni mają intelektualnie lepsze argumenty. Mają także nadzieję na opamiętanie się biurokracji, choć to, jeśli nastąpi, zapewne wymagać będzie

czasu. Tak jest w Ameryce, gdzie wiele różnych, dobrych, ale i złych rzeczy się dzieje („tam biją...”), a jak jest w Polsce?

Jeśli przed 1990 rokiem przeprowadzono jakieś reorganizacje w polskim systemie nauki i szkolnictwa wyższego, to pomijając okres stalinowski, dotyczyły one przede wszystkim struktury resortu, w którym obecna była oświata. Pozostałe zmiany, tak mi się przynajmniej zdaje, nie miały zasadniczego znaczenia dla funkcjonowania systemu jako całości. Zaadaptowany model radziecki jakoś ciągle funkcjonował.

Zmiana warunków ustrojowych uruchomiła natomiast procesy nieustannej reorganizacji, w których osoba z tak dużym jak mój stażem uniwersyteckim, dawno się pogubiła³. Właściwie każdy kolejny minister próbował wprowadzić swoje innowacje do organizacji, struktury i funkcjonowania nauki, ale wkrótce potem chyba musiał przygotowywać trzy koperty z zaleceniami dla swoich następców, zgodnie z tempem zmian ekip sprawujących władzę, ale nie tylko. Zmiany ekip rządzących resortem nauki pociągnęły za sobą także głębsze zmiany w samych resortach, czemu sprzyjał okres urodzaju, i coraz to nowsze pomysły nie tylko w zakresie reorganizacji, lecz także organizacji, struktury i funkcjonowania, owocujące rotacjami personalnymi.

W początkowych latach odnowy dostąpiłem zaszczytu bycia członkiem zespołu ekspertów, który pod kierunkiem prof. Antoniego Kuklińskiego, ówczesnego wiceprzewodniczącego Komitetu Badań Naukowych, *notabene* geografa (nie wiem, czy nasza geograficzna młodzież zna to nazwisko), miał opracować systemowy model organizacji, struktury i funkcjonowania nauki polskiej w nowych warunkach ustrojowych. Jednemu z podzespołów ekspertów przewodniczył mój szef, prof. Zbyszko Chojnicki, który zaproponował mi (wtedy docentowi oczekującemu na tytuł profesorski) uczestnictwo w tym zespole, przydzielając zadanie dokonania ekspertyzy dotyczącej ekonomicznych uwarunkowań funkcjonowania i rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego. Podjąłem się tego trudnego zadania, mając w pamięci pewne doświadczenie w tym zakresie sprzed kilku lat⁴. Moja ekspertyza nie doczekała się opublikowania, prawdopodobnie z uwagi na zbyt daleko idące propozycje, wynikające z przyjętej – nie do zaakceptowania politycznie – hipotezy (myślę, że przez każdy rząd) iż: „na naukę i szkolnictwo wyższe w Polsce nie będzie nigdy wystarczających środków finansowych”. Nieskromnie wydaje mi się, że moja hipoteza ciągle jest aktualna⁵.

Może warto w tym miejscu dodać, że będąc zwolennikiem ogólnej teorii systemów, sformułowanej przez Ludwiga von Bertalanffy’ego, w moich rozważaniach naukę i szkolnictwo wyższe traktowałem jako system teleologiczny, tj. mający wyraźnie zarysowane cele, przede wszystkim uprawianie nauki i kształcenie elity intelektualnej narodu. Sformułowałem także pewne postulaty natury organizacyjnej. Pierwszym był postulat utworzenia dużych uniwersytetów, łączących wyższe uczelnie w danej miejscowości oraz utworzenie wyższych, państwowych szkół zawodowych⁶. Do uniwersytetów miałyby zostać włączone instytuty „PAN-owskie” i „resortowe”, z wyjątkiem tych, które prezentowały najwyższy poziom nauki. Z tych należałoby jednak utworzyć autonomiczne, państwowe instytuty naukowe – jednostki naukowo-badawcze, które mogłyby podjąć się rozwiązywania najważniejszych

³ W latach 1959–1964 byłem studentem, w latach 1966–1974 uczęszczałem na seminarium doktoranckie doc. dr hab. Z. Chojnickiego oraz prowadziłem zleczone zajęcia dydaktyczne (jako pracownik służb planowania), a w roku 1974 zostałem etatowym pracownikiem naukowo-dydaktycznym.

⁴ Jako członek senatu kierowałem zespołem, który opracował raport o sytuacji materialnej pracowników naukowych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

⁵ Pewne wnioski z tamtej ekspertyzy, a także – inne będące efektem doświadczenia z kolejnych 25 lat mojej pracy na uniwersytecie – zawarłem w uwagach, które chyba w 2016 lub 2017 roku skierowałem drogą pocztową do gabinetu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (wtedy dr. Jarosława Gowina) w związku z przygotowywaną reformą systemu nauki i szkolnictwa wyższego.

⁶ Tego typu szkoły wyższe nie funkcjonowały jeszcze na początku lat 90., podobnie jak dynamicznie organizowane wyższe szkoły prywatne.

dla państwa i społeczeństwa problemów (problemy zdrowia, bezpieczeństwa, rozwoju ekonomicznego itp.). Polska Akademia Nauk miałaby przekształcić się w korporację najwybitniejszych polskich uczonych, wyznaczając kierunki rozwoju nauki i oceniając ten rozwój. Rozwiązanie takie pozwoliłoby z jednej strony skoncentrować potencjał badawczy i polskie uniwersytety uczynić bardziej znaczącymi w Europie, a z drugiej – dokonać redukcji zatrudnienia w sferze administracji i jednostkach pomocniczych. Struktura organizacyjna uniwersytetów miałaby nawiązywać do tego, co było zakorzenione w tradycji uniwersyteckiej, ale z uwzględnieniem także tego, co dyktuje rozwój cywilizacyjno-kulturowy. To w takich jednostkach (uniwersytetach) powinien odbywać się proces kształcenia elity intelektualnej, z uwzględnieniem potrzeb państwa, społeczeństwa i gospodarki. Pierwszym krokiem w tym kierunku powinien być powrót do rekrutacji kandydatów na studia, opartej na procedurze egzaminacyjnej, oraz związane z taką rekrutacją ograniczenie liczby przyjmowanych studentów. Byłby to pierwszy warunek przejścia z ilościowej orientacji kształcenia na jakościową. Oznaczałoby to jednocześnie porzucenie liczbowego określenia wymiaru kształcenia uniwersyteckiego na podstawie ciągle podnoszonych wskaźników scholaryzacji. Kadre naukowo-dydaktyczną takich uniwersytetów tworzyć powinny osoby uzdolnione, dla których praca naukowo-badawcza i dydaktyczna byłaby nie tylko obowiązkiem (jak każda inna), lecz także powołaniem, a nawet zaszczytem. Rzecz jasna, że osoby takie nie mogą jednak funkcjonować w takich warunkach finansowych, w których troska o byt własny i rodziny będzie je odrywać od pracy naukowej i dydaktycznej. Mam tu na myśli praktykowane poszukiwanie miejsc dodatkowego zarobku w innych miejscach, jak i przyjmowanie dodatkowych zajęć dydaktycznych w miejscu podstawowym (godziny zleczone). Prawda jest taka, że tego rodzaju aktywność zawsze się odbywać będzie nie tylko kosztem prowadzonych badań, życia rodzinnego, kulturalnego, ale też czasu potrzebnego na poszerzanie zakresu posiadanej wiedzy, a także wypoczynku, niezbędnego w warunkach prowadzenia intensywnej pracy umysłowej⁷.

Wróćmy jednak do zasadniczych kwestii. Jak to już napisałem, choć nauka amerykańska i polska funkcjonują w zupełnie różnych warunkach, to procesy obserwowane i opisywane za Atlantykiem widoczne są także na polskich uniwersytetach, zwłaszcza od początku XXI wieku. Nasiliły się jednak po wejściu w życie tzw. *Konstytucji dla nauki 2.0*, czyli *Ustawy z dnia 20 lipca 2018 roku. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce*. W moim przekonaniu podstawowa różnica dotycząca funkcjonowania nauki i szkolnictwa wyższego tam (USA) i tu (RP) polega na tym, że autonomii uniwersytetów amerykańskich nie ogranicza żadna jednostka nadrzędna o charakterze resortu centralnego, podczas gdy w Polsce funkcję taką pełni odpowiednie ministerstwo (aktualnie Ministerstwo Edukacji i Nauki). W takiej sytuacji istota różnicy polega generalnie na tym, że podczas gdy wiele symptomów akademencji w Stanach Zjednoczonych jest efektem własnej pomysłowości i naśladownictwa innych, w Polsce to skutek polityki biurokratyzowania życia akademickiego przez resort, co w obu przypadkach sprzyja szerzeniu się tego schorzenia, a właściwie epidemii. Zatem podczas gdy w Ameryce Północnej uniwersytety same, z własnej woli, przekształcają się w firmę czy korporację, w Polsce postępująca biurokratyzacja uniwersytetów jest przede wszystkim efektem działań władz resorowych. W takiej sytuacji akademencja amerykańska jest w wysokim stopniu zindywidualizowana, a polska, w dużym stopniu urzędowo zuniwersalizowana i wymuszona. Nasze uniwersytety muszą bowiem realizować decyzje resortu. Nie oznacza to jednak, że nie mają własnych pomysłów w tym zakresie, szczególnie w aspektach, w których stworzono im pole do działania, bowiem nie jest ono wyraźnie określone przez resortowe regulacje.

Pod pozorami autonomii, troski o wysoki poziom badań naukowych i dbałości o jakość kształcenia totalnie zbiurokratyzowano funkcjonowanie szkół wyższych. Opisanie wszystkich przejawów biurokratyzacji od 2000 roku mogłoby złożyć się na kilkudziesięciostronicowy elaborat. Zatrzymam

⁷ Szersze rozwinięcie tych i innych kwestii, zawartych w przygotowanej ekspertyzie i piśmie do Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, znaleźć można w moim artykule *Uniwersytet jako wspólne dobro i wspólny interes* (*Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny*, 2019, R. LXXXI, z. 3).

się więc jedynie na sprawach, które wydają się być sprzyjające rozwojowi akademencji i znaczące dla rozwoju tej epidemii. Chodzi mi o takie wymuszone działania, które w poważnym stopniu absorbują i obciążają pracowników nauki, zabierając im czas, jaki można przeznaczyć na wiele innych, ważnych spraw (praca naukowa, lektura czasopism, doskonalenie zawodowe, nowe propozycje dydaktyczne, sprawy rodzinne, uczestnictwo w życiu kulturalnym, rekreacja, wypoczynek itp.). Nie wiem jednak, czy wszystkie te wymuszone działania funkcjonują obecnie pod pierwotną nazwą, czy pod inną, czy może już zostały zaniechane. W czasie mojej aktywności zawodowej były jednak poważnym utrudnieniem spokojnej pracy (nie mylić ze spokojną głową). Pewne z tych działań miały charakter akcyjny i angażowały w mniejszym lub większym stopniu poszczególne osoby – w największym władze dziekańskie i instytutowe. Mam przede wszystkim na myśli akredytację, która zapowiadana, traktowana była jako zbliżające się tsunami względnie armagedon. Dziesiątki osób godzinami ślęczało nad przygotowaniem stosownej dokumentacji. Drukowane były setki stron tekstów, które tuż po pobycie członków komisji akredytacyjnej stawały się materiałem archiwalnym, praktycznie bez żadnego znaczenia. A jakie znaczenie ma czy miała sama akredytacja? Nie słyszałem, aby jakkolwiek uniwersytecka placówka naukowa została pozbawiona prawa kształcenia na konkretnym kierunku studiów, nawet ta wykazująca braki kadrowe. Ponadto zastanawiam się, czy można kogoś karać pozbawieniem prawa do kształcenia z tego tylko powodu, że nie dysponuje odpowiednimi warunkami lokalowymi, sprzętowymi, bibliotecznymi itp., a to było ważnym składnikiem oceny.

Podobne wątpliwości budziły tzw. krajowe ramy kwalifikacyjne, w których wpisanie się poważnie absorbowało każdego nauczyciela akademickiego, a wprowadzenie w życie (szkolenia, materiały itp.) pociągnęło za sobą poniesienie przez resort wielomilionowych kosztów, nie licząc kosztów, jakie ponosiły uczelnie. Określanie, czego studenci mają się uczyć, co mają wiedzieć i jakie mają być ich kompetencje społeczne, nie można inaczej potraktować jak uczynienie z uniwersytetu szkoły specjalnej. Każdy, decydując się na podjęcie studiów wyższych, powinien przystąpić do edukacji z wolą zdobywania wiedzy w ramach świadomie wybranego kierunku, czego konsekwencją będą jego fachowe kompetencje zawodowe. Niestety, fatalny system finansowania uniwersytetów, czyli zgodnie z zasadą „pieniądze idą za studentem”, sprawił, że studentów rekrutuje się nie z chęci kształcenia elity intelektualnej, lecz w celu (pomijając politycznie ważne wskaźniki scholaryzacji) podreperowania własnego budżetu. W takich warunkach student raczej nie przychodzi na studia po wiedzę, a po dyplom. W ten sposób wyższa uczelnia, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, staje się pewnego rodzaju firmą, jednak raczej handlową, przechodząc od modelu tradycyjnego uniwersytetu do supermarketu – z całą gamą promocji, obniżek, przecen, systemów marketingu, reklam itp. W filozofii marksistowskiej, której, niestety, mnie uczono podczas studiów i z której co nieco musiałem wiedzieć na egzaminie doktorskim, zapamiętałem prawo dialektyki mówiące „o przechodzeniu ilości w jakość”. Niestety, w warunkach, w jakich funkcjonują nasze uniwersytety, jest to „przechodzenie ilości w bylejakość”. Co najmniej 50% przyjmowanych na studia uniwersyteckie (mam tu na myśli moją dyscyplinę naukową) nie prezentuje odpowiedniego poziomu wiedzy lub – jak już napisano – nie po wiedzę na uczelnię przyszło. Przychodzić pewnie w warunkach demokracji może, ale czy zawsze powinno to oznaczać przyjęcie? Widać jednak, że oznacza, a nawet musi, przecież *pecunia non olet*. Powtarzam to już od dawna, *zawsze chodzi o pieniądze*, a nie tylko wtedy, kiedy nie wiadomo, o co chodzi. Dopełnieniem tego nieporozumienia, bo inaczej tego nie można nazwać, jest to, że ma ono miejsce w warunkach „autonomii” wyższej uczelni. Jakoś dziwnie mi to przypomina z dawnych czasów, tzw. doktrynę Breżniewa, która oznaczała ograniczony zakres suwerenności i autonomii wspólnoty państw socjalistycznych.

I jeszcze jedna sprawa, nad którą nie mogę przejść obojętnie. Jest to tzw. sprawa jakości kształcenia. Długo chyba trzeba by było szukać drugiego takiego kraju, w którym odpowiedzialnością za kiepskie wyniki nauczania masowo przyjmowanych studentów obarcza się osoby prowadzące zajęcia dydaktyczne. Cała procedura oceny przebiega zaś w skandalicznej formule. Podstawą oceny nie jest wiedza, jaką nabył student, a opinia studenta o prowadzącym zajęcia. Opinia każdego studen-

ta, w tym zwłaszcza nieuczęszczającego na zajęcia, mającego problemy z zaliczeniem przedmiotów, szczególnie u osoby ocenianej, powtarzającego, za zgodą dziekana, rok lub konkretny przedmiot, mającego problemy dyscyplinarne itp. Użyłem słowa „zwłaszcza”, bowiem w dni, w których przeprowadzane jest badanie ankietowe, frekwencja na zajęciach jest wyjątkowo duża. Sytuacja taka ma oczywiście zasadniczy wpływ na średnią ocenę wystawianą przez studentów. Generalnie najwyższe oceniane są osoby niestawiające wysokich wymagań, pobłażliwe, tolerancyjne, niemal miłosierne, a nie te, które z jednej strony prezentują wysoki poziom wiedzy, a z drugiej, które wymagań w tym zakresie nie sprowadzają do banałów, a egzaminu czy zaliczenia do formalności. Skromny odsetek tych studentów, którzy na uniwersytet przyszli po wiedzę i sami starają się zasoby posiadanej wiedzy powiększać, nie jest w stanie swoimi wysokimi ocenami osób prowadzących zajęcia podnieść średniej oceny. Dopełnieniem tego wszystkiego jest nakładanie na nie najlepiej ocenianych nauczycieli akademickich obowiązku opracowania tzw. programów naprawczych. Przypomina mi to nakazy przeprowadzenia samokrytyki ze słusznym minionym czasem. Czym jest bowiem program naprawczy czegoś, co jest złe jedynie w opinii wyrażonej w ankietach studenckich, choć potwierdzone miernym poziomem prezentowanej wiedzy? Opisane powyżej biurokratyczne procedury przeprowadzają specjalnie powoływane w tym celu komisje, których działalność zabiera nie tylko cenny czas, lecz także pieniądze, nakładając dodatkowo obowiązek egzekwowania tego bezsensu.

Zupełnie innym problemem i też raczej obcym w środowiskach naukowych, których uniwersytety nie plasują się na pozycjach w piątej i dalszych setkach rankingów, jest opisana już przeze mnie w innym miejscu punktowa i jej pochodne – tj. punktologia i punktatorstwo. Wszystko to sprawia, że rozwiązywanie problemów naukowych zostało zastąpione poszukiwaniem punktów będących podstawą oceny, zarówno pracownika naukowego, jak i jednostki, w której pracuje⁸. Efektem tego może być opublikowanie przygotowanego tekstu i uzyskanie niekiedy dużej liczby punktów, ale chyba nie na tym polegać ma praca naukowa rozumiana jako poszukiwanie prawdy o otaczającej nas rzeczywistości. Niewiele ma wspólnego z nauką doraźne poszukiwanie tematu publikacji z zamiarem wpisania się w profil czasopisma i satysfakcjonujący punktowo efekt opublikowania. Przecież to odnajdowana czy poznawana prawda, a nie punkty, powiększa zasoby wiedzy w konkretnej dyscyplinie naukowej oraz wzbogaca zasoby własne badacza, określając jego specjalizację i naukowe kompetencje, a o to przede wszystkim chodzi (powinno chodzić) w nauce.

W funkcjonowaniu polskich uniwersytetów widoczny jest też – może nie w takim stopniu jak w Stanach Zjednoczonych – menedżeryzm, o czym mimo woli już wspominałem. W moim przekonaniu, choć sytuacja panująca w społecznościach akademickich na uczelniach jest przede wszystkim (wraz z biurokracją) efektem przeciążenia zajęciami dydaktycznymi i obowiązkami wynikającymi z realizowanych, odgórnie nakładanych, uprzednio opisanych powinności, to znamionuje także próbę przeniesienia na polski grunt mody panującej za Atlantykiem, nazywanej właśnie menedżeryzmem. Najbardziej widocznym dowodem takich działań jest, z jednej strony, tworzenie w ramach uczelni takich struktur, jakie są obecne w firmach i korporacjach, z drugiej strony zlecenie na zewnątrz pewnych prac, które do niedawna stanowiły istotę działalności uniwersytetów, a mam tu na myśli przygotowywanie materiałów mających być podstawą ubiegania się o granty lub innego rodzaju środki finansowe, co zawsze może budzić pewne podejrzenia. Z mojej ulubionej, trzeciej strony oznacza to ograniczenie wpływu kadry naukowej uniwersytetu na organizację, strukturę i funkcjonowanie tej placówki wraz z uczynieniem z władz dziekańskich nadzorców wykonania polityk, strategii, wyzwań, programów, planów, projektów, restrukturyzacji oraz przygotowania różnego rodzaju sprawozdań, raportów, ankiet itp., opracowywanych na zewnątrz lub przez dziwne struktury wewnętrzne. Oznacza także odpowiedzialność władz dziekańskich za realizację resortowych zarządzeń i zaleceń.

⁸ Zob. J.J. Parysek, 2021, Punktowa, punktologia i punktatorstwo, *Prace i Studia Geograficzne*, 66.4, s. 151–155.

Wszystkie opisane sytuacje dają efekt synergiczny, którym jest właśnie akademencja, czyli odchodzenie od tradycyjnej roli uniwersytetu, jego zadań, organizacji, funkcjonowania. Mówiąc krótko – odchodzenie od tradycji. Kierunek ten wzmacnia dostrzegana także w uniwersytetach amerykańskich liberalna i lewicowa (lewacka) ideologizacja. Z procesem tym mamy do czynienia także w polskich uniwersytetach i jest on wynikiem przemian cywilizacyjno-kulturowych, jakie gdzieś od lat 60. ubiegłego stulecia, dokonują się w świecie, Europie, a w Polsce w przyspieszonym tempie od 1990 roku. Mają też związek z programami politycznymi partii i różnych organizacji o wyraźnie lewicowych podstawach ideologicznych lub o zawołowanej lewicowości, powiększających systematycznie swoje wpływy w środowisku akademickim. W gruncie rzeczy zapewne chodzi o budowę „nowego, wspaniałego świata”. Długa jest historia tego budownictwa, choć efekty, mówiąc delikatnie, mizerne, a miejscami nawet tragiczne⁹. Idea ta raz po raz jednak odżywa w nowych pomysłach i choć jest różnie formułowana i przedstawiana, to w założeniach jest jednak zawsze taka sama. Może więc tylko krótka retrospekcja historyczna.

Rewolucja francuska z 1789 roku za swój program przyjęła piękne hasła: wolności, równości i braterstwa, ale ich praktyczne urzeczywistnienie przyniosło jedynie terror, prześladowania, zbrodnie, w sumie morze krwi władców i ich rodzin, arystokracji, duchowieństwa, zwykłych obywateli (zwłaszcza chrześcijan), ale także samych rewolucjonistów, z przywódcami rewolucji na czele. Potwierdzenie uzyskał pogląd Dantona, że „rewolucja jak Saturn pożera własne dzieci”. Do tych haseł starają się nawiązywać współcześni rewolucjoniści, przedstawiając nowe ich interpretacje. Na tych hasłach ma zostać zbudowany nowy wspaniały świat. Rewolucja bolszewicka 1917 roku przeprowadzona została pod hasłami ideologii Marksa i Engelsa, które są, jak to się czasami mówi, „wiecznie żywe” mimo upływu czasu¹⁰. Chodzi tu o ideę „ruszenia z posad bryły świata”. Z posad, które tworzą filozofia grecka, prawo rzymskie oraz chrześcijaństwo. Ślad tych posad ma zostać zmieciony, gdy „związek (nasz) bratni ogarnie ludzki ród”. Z tymi hasłami czy celami jakoś dziwnie współgra inne, też raczej rewolucyjne hasło „*ein Reich, ein Volk, ein Führer*”. Są chyba jakieś wspólne korzenie (geograficzne na pewno) tych rewolucyjnych myśli.

W literaturze znaleźć jednak można różne modele „nowego wspaniałego świata”, choć trudno sobie wyobrazić ich urzeczywistnienie¹¹. Nie jestem specjalnym znawcą literatury w tym zakresie, ale nie wiem, czy ten „nowy wspaniały świat” ma być tworzony według pomysłu Aldousa Huxleya, czy według George’a Orwella, czy może według pomysłów jeszcze innych autorów? Może naiwnie sądzę, ale wizje czy założenia, jakie zostały przedstawione w *Nowym wspaniałym świecie*, *Roku 1984* oraz *Folwarku zwierzęcym*, nie są dla mnie ani modelami przyszłości, ani zachęty do budowy czegoś nowego, ale przestrogą i środkiem trzeźwiącym dla „zlasowanych” lub „zniewolonych” umysłów. Trwogą napawa mnie jednak to, że przedstawione przez Huxleya i Orwella modele są jednak przez niektórych traktowane jako wzorce do realizacji, na co można już dziś znaleźć potwierdzenie.

Może jednak chodzi o inny, „naprawdę nowy, wspaniały świat” – budowany według idei Klausa Schwaba – w którym egzystuje „nowy wspaniały człowiek”, istota pozbawiona poczucia tożsamości etnicznej, narodowej, kulturowej, religijnej, państwowej, sterowana na wzór robota zainstalowanym pod skórą czipem. Takim powinien być ten nowy człowiek, bowiem wszystko, co zostało wymienione, pochodzi z tradycji i krępuje jego działania, ogranicza specyficzną pojmowaną wolność. Chyba właśnie dlatego hasło głoszone przez Schwaba „nie będziesz nic posiadał i będziesz szczęśliwy” jest myślą przewodnią projektowanego tzw. wielkiego resetu?

⁹ Mam na myśli rewolucje ideologiczno-światopoglądowe, takie jak rewolucja francuska (1789–1795), rewolucja bolszewicka w Rosji z 1917 roku, hitleryzm w Niemczech (1933–1945), rewolucja kulturalna w Chinach (1966–1976) czy rewolucja obyczajowo-seksualna z 1968 roku.

¹⁰ Hasła te zostały zapisane w *Międzynarodówce*, rewolucyjnej pieśni uznawanej za hymn komunistów.

¹¹ Wprowadzenie terminu „nowy wspaniały świat” przypisuje się Aldousowi Huxleyowi, autorowi książki pod takim tytułem.

Niestety tego rodzaju pomysły powoli stają się składnikami polskiej akademencji. Są przejawem stopniowej utraty kontaktu z rzeczywistością naukową i tradycją, kształtowaną przez wiele setek lat. Coraz bardziej upewniam się w tym przeświadczeniu, że to właśnie lewicowe ideologie są podstawowym czynnikiem przemian, jakie dokonują się w polskich uniwersytetach – i to jest powodem poważnych moich obaw. Zbyt dobrze pamiętam lata przed 1989 rokiem i to, co miało miejsce w naszej edukacji oraz nauce i szkolnictwie wyższym. Każda ideologia była i jest wrogiem nauki i o tym warto pamiętać. Wrogiem, bowiem zgodnie z moim przeświadczeniem, celem nauki jest poszukiwanie prawdy o otaczającej nas, zmieniającej się rzeczywistości, a celem ideologii to, co dziś nazywa się, mówiąc delikatnie, inżynierią społeczną. Wszystko to odbywa się oczywiście w ramach kolejnej rewolucji, tym razem cywilizacyjno-kulturowej, której celem jest zburzenie starego porządku, czyli wspomnianych przeze mnie tradycyjnych posad bryły świata. Dawno temu Antonio Gramsci i Altiero Spinelli doszli do wniosku, że bez przemian cywilizacyjno-kulturowych nie da się zbudować nowego wspaniałego świata, a te najlepiej jest rozpocząć właśnie od uniwersytetu.

Organizacja, struktura i funkcjonowanie nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce nie były i nie są mi obce, podobnie jak uniwersytetu. Brałem udział w przygotowaniu raportów na ten temat, a moje pomysły publikowałem. Nie była jednak wtedy jeszcze znana choroba, jaka trawi uniwersytety amerykańskie, ale i inne, którą się nazywa *academentia*, co po polsku pojmować można jako „akademicką demencję”. Symptodem tej choroby jest zapominanie tego, czym był i powinien być uniwersytet, a objawem odchodzenie od tradycji i tego konsekwencje (menadżeryzm, biurokracja, lewicowo-liberalna ideologizacja). Wszystko się globalizuje, w tym także schorzenia psychiczne, a wśród nich demencja. Miejmy to na uwadze.

Może więc warto powrócić do blisko tysiącletniej tradycji uniwersytetów i przemyśleć ją na nowo. Ja już nie będę się musiał z tym mierzyć.

Będąc szczególnie przywiązany do tradycji, mój tekst zakończę piękną definicją pewnej zapomnianej wartości, jaka podana została w zakończeniu filmu *Miś* w reżyserii Stanisława Barei, a którą jest tradycja¹²: „Tradycja to dąb, który tysiąc lat rósł w górę. Niech nikt kielka małego z dębem nie przymierza! Tradycja to jest właśnie kolęda, świąteczna wieczerza, to jest ludzi śpiewanie, to jest ojców mowa, to jest nasza historia, która się nie zmienia. A to, co dookoła powstaje od nowa, to jest nasza codzienność, w której żyjemy”. Myślę, że warto do tradycji powrócić.

¹² To stara „prawda czasu”, a w tym przypadku także przysłowiowa „prawda ekranu”.